

Grzegorz Skowyra*
Polana Młodego Słońca

Ile warto poświęcić w imię zemsty?
Ile sam jesteś skłonny z siebie dać?

Ulewa szalała nad ruinami zamku groblińskiego. Choć zgliszcza już wygasły, w powietrzu nadal unosił się zapach spalenizny... i krwi. Niespokojne duchy pomordowanych wałęsały się po okolicy, przeszkadzając tym, którzy byli na nie wyczuleni. Domagały się zadośćuczynienia. Ukojenia.

Zemsty.

Jednak to nie one sprawiały, że kasztelan Olgierd Zabramski rzucał się przez sen po zdewastowanym posłaniu. Powodem były jego własne wspomnienia. Świeże, wyraźne, krwawe. Wdzierały się do koszmarów, łapały za serce, dławiły w gardle, szarpały duszę. Drwiły, czyniąc go we śnie równie bezsilnym jak za życia.

Zabramski był wielkim mężczyzną, posiwiąłym, ale potrafiącym łamać podkowy gołymi rękami. Brzuchatym, ale zdolnym pokonać na szable dwóch, czy nawet trzech żołdaków naraz. Sprawdził to dwa dni wcześniej, podczas oblężenia Groblina. Zabił z tuzin Szwedów, ale były ich tysiące.

Najeźdźcy zdobyli jego stary zamek prawie z marszu, choć kosztował ich wiele krwi. Odpłacili się jednak z nawiązką. Okoliczne wioski płonęły do tej pory. Krzyk mordowanych i gwałconych niósł się z wiatrem... Podsyczał drastyczne obrazy wyciekające ze wspomnień kasztelana. Jemu heretycy kazali zapłacić szczególnie srogo. Miał żonę i dwie młode córki. Przykuli go do jego własnego pręgierza i trzymali, aby wszystko widział.

* Grzegorz Skowyra — rocznik 1984. Wychowany na opowieściach o Conanie, Gotreku, Dydyńskim i pierwszych Piastach. Zdeklarowany wróg krótkiej formy i wielbiciel dokładnych, mięsistych opisów.

Wyrywał się, rzucał klątwy, potem już tylko wył jak zwierzę. Gdy w końcu zaczęli podrzywać gardła jego skarbeczkom, przelała się czara. Jaźń wycofała się, schowała wypuszczając na wierzch coś strasznego, pierwotnego. Strącił z siebie Szwedów niczym niedźwiedź oszczekujące go kundle. Mocnym szarpnięciem zerwał łańcuch wiążący mu prawicę.

Drugi trzymał jednak mocniej.

Zepchnęli go z powrotem w dziesięciu, w dwunastu zdołali unieruchomić. A potem jego własną szablą sprawili, aby już nigdy jej nie podniósł.

Wykrwawiającego się, półprzytomnego cisnęli na zmasakrowane ciała kobiet i poszli zabawiać się dalej. Grabić, gwałcić, mordować. Niekoniecznie w tej kolejności. Odchodząc, podłożyli pod wszystko ogień.

Pierwotna istota wewnątrz kasztelana nie pozwoliła mu jednak umrzeć. Zmusiła ciało aby się poruszyło, doczołgało do piwnicznych schodów i stoczyło po nich. Kamień się nie palił.

Zmora, która go męczyła, nie pozwoliła mu zobaczyć kolejnych zdarzeń. Tego jak odnalazła go Krzysia i inni uczniowie. Jak wraz zdołali go opatrzyć, wynieść, utrzymać przy życiu.

Zamiast tego, koszmar zaczął się od nowa...

Wtedy spadł na niego cios łaski. Szczupła, chłodna dłoń dotknęła jego twarzy, przepędziła koszmary jakby były małymi myszami. Nie dała mu jednak zaznać snu bez majaków.

— Mistrzu! Mistrzu, zbudź się — kobiecy głos wbijał się w jego umysł, rozbijając odrętwienie i ciemność. — Zaczęło się. Potrzebujemy cię mistrzu! Potrzebujemy!

Zabramski zmusił się aby otworzyć zapuchnięte oczy. W ciemności dostrzegł zgrabną, młodą postać i z miejsca rozpoznał Krzysię.

— C-co? — wycharczał.

— Zaczęło się Mistrzu. Róża rodzi!

Oprzytomniło go to. Podniósł się do siadu, ale od razu zachwiał. Kobieta przypadła do niego, wsunęła się pod zdrowe ramię, podtrzymała. Gdy pomogła mu podnieść się na nogi, nie po raz pierwszy oszołomiło go, ile siły drzemie w jej chudym ciele.

Spał w butach i ubraniu, więc ruszyli od razu. Skupiony na nowym zadaniu Olgierd starał się nie patrzeć na zdewastowane wnętrza tego, co zostało z jego domu. Z początku

nie bardzo mu się udawało i to pomimo bólu, jakim rwał krwawiący ciągle kikut. Gdy jednak weszli do tego, co było kiedyś komnatą jego szatniarza, ból i rozkojarzenie zniknęły.

Na paskudnym, osmolonym biurku leżała prawie naga kobieta. Jej ciemnorude włosy, podobnie jak nocna koszula, były przyklepione do ciała. Ładna, choć trochę szczerza twarz wykrzywiała się z powodu ogromnego bólu. Dwie inne kobiety pochylały się nad nią. Jedna gładząc po policzkach i szepcząc coś pokrzepiająco, druga nurkując między nogami rodzącej. Jeszcze piątka innych osób krążyła nerwowo po pomieszczeniu.

Zabramski znał ich wszystkich doskonale. Byli nie tylko wszystkim, co zostało z jego służby, ale również jego wtajemniczonymi uczniami. Spoglądali teraz na niego z mieszaniną trwogi i nadziei w oczach. W okolicy nie było ani jednej akuszerki. Te, które nie uciekły w las, zostały zgwałcone i zabite albo wciągnięte w szeregi szwedzkich ciur.

Kasztelan przełknął ślinę, ale zmusił się do zachowania kamiennego wyrazu twarzy. Przystąpił do kobiet i położył dłoń na ramieniu rodzącej.

— Jesteś promieniem nadziei, Rózo — powiedział z cieniem uśmiechu na ustach. — Bóg ci błogosławi. Dzięki tobie dowodzi, że nie odwrócił się od nas.

Ciężarna spróbowała pokiwać głową, ale paroksyzm bólu sprawił, że wrzasnęła rozdzierająco. Olgierd zacisnął dłoń na jej ramieniu, chcąc dodać jej otuchy i przekazać odrobinę z resztek swojej siły.

Telimena podniosła się spomiędzy nóg rodzącej i wyszeptała mu bezpośrednio do ucha.

— Jest źle, Mistrzu. Nie znam się na tym, ale chyba nie powinno być aż tyle krwi. Ciągle też nie widać dziecka...

Mężczyzna zmusił się do zachowania spokojnej twarzy, wewnątrz poczuł jednak, jak strach wali go obuchem w głowę. „Na Boga i wszystkie elementarne moce, cóż ja mam z tym zrobić?!” — pomyślał, jednocześnie czując na sobie spojrzenia uczniów. Oni wszyscy ciągle ufali mu, wierzyli w niego. Pomimo namacalnych dowodów nadal uważali, że jego mądrość i wiedza nie mają sobie równych.

Kasztelan poczuł, jak zgniata go ta odpowiedzialność.

Chciał uciec z tego śmierdzącego potem i krwią pomieszczenia, z tego pełnego zgliszczy i zniszczeń zamczyska, z tego ogarniętego wojną i chaosem kraju. Z tego pełnego zła i nieszczęścia świata.

„Nie!” warknęła istota w jego wnętrzu, a ambicja i chęć chronienia tej odrobiny, która mu pozostała zawtórowały jej. Zabramski zmusił się, aby wziąć głęboki oddech, zamknąć oczy i wyciszyć się na bodźce zewnętrzne. Tak jak przed dekadami uczył go mistrz Sędziwój, zagłębił się w odmęty własnej pamięci, szukając konkretnych wspomnień.

Konkretnej wiedzy.

Pamiętał, że czytał o tym grecki traktat, tak stary, że niektóre fragmenty były nieczytelne z wyblaknięcia. Co prawda nie był poświęcony sztuce położnictwa, ale pozyskiwaniu ingrediencji z kobiecych narządów rodnych, jednak temat porodu również został w nim poruszony.

Moment później otworzył oczy.

— Odsuń się — powiedział do Telimeny zajmując jej miejsce.

— Nie patrzcie, panie... — pisnęła Róża, co uznał za bardzo dobry znak. Skoro mogła przejmować się takimi rzeczami, musiała mieć ciągle wiele sił. A jeśli jego przypuszczenia okażą się prawdziwe, będą jej potrzebne.

Położył dłoń na wzdętym brzuchu i nacisnął. Lekko, ale rodząca i tak zawyła. Zignorował to. Przez moment przesuwiał palcami po mokrej skórze, nabierając strasznej pewności.

— Krzysia, chodź tu — powiedział, odsuwając się lekko, po czym nachylił się nad jej uchem. — Dziecko jest źle ułożone, musimy je przekręcić. Potrzeba do tego dwóch rąk, więc ja nie mogę... Poza tym ty masz mniejsze dłonie.

— Znaczy... jak to przekręcić? — najwierniejsza z uczennic popatrzyła na niego ogromnymi oczami.

— Włożyć ręce do środka, namacać dziecko i przesunąć główką w kierunku świata.

— W...środku?! — krzyknęła blednąc. Ciężarna drgnęła od tego, a potem wrzasnęła w wyniku nowej fali bólu. Reszta uczniów zaszemrała i popatrzyła po sobie zdziwiona.

Olgierd skarcił ich wzrokiem, uśmiechnął się pokrępiąco do Róży, a do Krzysztofy powiedział szeptem.

— Tak. Ja pomogę ci z zewnątrz i będę cały czas kierował. Zdejmij pierścienie.

— Honoratka ma mniejsze dłonie od moich... — zaczęła, ale posłusznie zsunęła ozdoby z różnych kolorów złota.

— Ale jej uchwyt jest słabszy i mniej delikatny niż twój. A teraz do dzieła, powoli i ostrożnie, jakbyś palce do gorącej wody wkładała — powiedziawszy to zwrócił się do pozostałych uczniów. — Złapcie Różę i unieruchomcie. Wybacz mi dziecko, ale musimy mieć pewność, że nie wydarzy się nic gwałtownego.

Rudowłosa popatrzyła na niego pełnymi łez oczami, ale obok cierpienia, strachu i wstydu ujrzał w nich również ufność. Podobnie patrzyła na niego najmłodsza córka, kiedy...

Zamknął z całej siły powieki, napinając mięśnie przedramienia w okaleczonej dłoni. Krew popłynęła żwawiej, biała fala bólu wypłeniła wszelkie myśli z jego mózgu. Gdy przeszła, zmusił się, aby skupić na zadaniu.

Oparł dłoń na brzuchu rodzącej w tym samym momencie, w którym Krzysia zaczęła wsuwać w nią place. Zabramski przypomniał sobie, że w traktacie zalecali przed tym moczenie dłoni w piwie i mycie w gorącej wodzie, ale teraz nie mieli na to czasu.

Róża zamilkła na chwilę, jej blade do tej pory policzki pokryły się pąsem, co wywołało cień uśmiechu na twarzy mężczyzny. Z powodu wstydu zapomniała na chwilę o bólu.

— Cz...czuję. Czuję je! — euforia spłynęła z ust Krzysi. — Czuję.

— Dobrze, bardzo dobrze — pochwalił ją mistrz. — Teraz przesun palce w swoje lewo. Pomału, pomalutku...

Blisko godzinę później kolejny krzyk rozszedł się nad ruinami zamku w Groblinie. Choć przepełniał go ból, przynosił nadzieję. Choć powitał go śmiech, był on pełen radości, a nie okrucieństwa.

Zabramski zdarł z pleców kontusz i zawinięto weń jasnowłosą, umazaną krwią i kałem iskierkę życia. Malutki chłopczyk wył wniebogłosy, dowodząc zdrowia swych płuc. Róża, podpierana przez dwie inne uczennice, złapała zawiniątko w ramiona. Była blada, brudna, mokra i wymizerowana, a jednak promieniała wewnętrznym blaskiem, widocznym nawet dla osób bez darów udzielonych mistrzowi Olgierdowi Zabramskiemu i jego uczniom.

Na całym zamku nie został ani jeden kawałek ostrza. Na polecenie kasztelana, Krzysia już bez żadnych oporów, przegryzła pępowinę i zawiązała jej końce. Następnie,

umorusana krwią gorzej niż niejeden rzeźnik w jatce, oparła się o ścianę obok swojego mistrza. Szeroki, promienny uśmiech nie schodził z jej spoconej twarzy.

— Jesteście wielcy — powiedziała spoglądając na olbrzymiego, jednorękiego mężczyznę z uwielbieniem i oddaniem. On jednak tego nie dostrzegał, ani nie słyszał jej słów. Wzrok utkwiał w Różę, tulącej i instynktownie kołyszącej cud życia w brudnym kontuszu.

Trzeci raz był świadkiem takiego cudu, dwa razy wcześniej trzymał jego owoc w swoich rękach. Dwa razy patrzył, jak owoce te rosną, uczą się chodzić, mówić, śmieją się, bawią i radują. Żyją...

I dwa razy skurwysyny z północy ten cud zabrały.

— Nigdy więcej... — wyszeptał.

— Mistrzu? — spytała zdziwiona Krzysia.

Kasztelan jej nie odpowiedział. Ruszył w głąb zamku. Jego wcześniejsza słabość zniknęła, ból wyparował, a kikut przestał krwawić. Z werwą, niemal podbiegając, dotarł do schodów i udał się na dół. Uczniowie popatrzyli po sobie zdziwieni. Krzysia skinęła głową na Adama i Zygmunta. Ruszyli za nim.

Dogonili go dopiero w zdewastowanej piwnicy, pochylającego się przy jednej ze ścian. Rozpoznali ją bez trudu.

— Mistrzu, jes... — zaczęła kobieta, ale Zabramski kopnął już w mur. Rozległ się dźwięk pękającego gipsu. Dwa kolejne kopnięcia poszerzyły otwór, ukazując skrytkę. Kasztelan schylił się ku niej, sięgnął do środka. Pogrzebał chwilę, przekładając znajdujące się tam książki i wyjął spośród nich tylko jedną. Małą, niepozorną, zawiniętą w kolorowy materiał. Kobieta poczuła dreszcz strachu na plecach. Podbiegła szybko do niego.

— Mistrzu, cóż chcecie zrobić? — spytała szeptem. Mężczyzna popatrzyła na nią, przerywając gładzenie materiału. Sięgnął ku niej drugą ręką, jakby chciał położyć jej dłoń na ramieniu, ale kikut zatrzymał się bezsilnie w powietrzu. Pasja w jego spojrzeniu przygasała na moment, ale zaraz pojawiła się z nową mocą.

— Nikogo więcej, rozumiesz Krzysztofo?! Nie pozwolę Śledziom skrzywdzić nikogo więcej!

— Mówiłeś panie, że ta księga jest zbyt niebezpieczna. Niewarta ryzykowania duszy dla chwilowych korzyści...

— Byłem głupcem! — przerwał jej twardo. — Nasi najbliżsi nie żyją, dom spalony, pracownia zniszczona! I nic nie możemy z tym zrobić, Krzysia, rozumiesz? Nic! Próbowałem, Bóg mi świadkiem, że próbowałem...

Ramiona mu opadły, cofnął się kilka kroków. Popatrzył na zawiniątko w swoim ręku, jakby widział je po raz pierwszy, usta mu zadrgały, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nim uczennica zdążyła cokolwiek zrobić, zacisnął wargi w wąską linię i wyminął ją ruszając z powrotem na górę.

— Nikt więcej — doleciało jeszcze ze schodów.

Krzysia odprowadziła go wzrokiem, następnie spojrzała na pozostałych. Adam wzruszył ramionami, Zygmunt natomiast skinął głową.

— Jest mistrzem, wie co robi — powiedział.

— Mam nadzieję — mruknęła, zaraz jednak dodała głośniejszym i pewnym głosem. — Cokolwiek zamierza, będzie potrzebował naszej pomocy. Zagipsujcie skrytkę z powrotem i dołączcie do nas na górze.

W zawiniątku znajdowała się mała, na pierwszy rzut oka zwyczajna książeczka. Nie miała zdobień, ani klamer, oprawiono ją tylko w białą skórę, a liczba stron nie mogła przekraczać setki. Jednak kiedy ktoś dłużej się jej przyglądał, albo nie daj Boże, gdy wziął ją do ręki, wszelka niepozorność znikwała.

Skóra na oprawie była gruba i dziwnie pomarszczona, w dotyku zaś miękka, sprężysta. W połączeniu z silnym smrodem rozkładu, jaki wydzielala, bardzo szybko dało się dojść do wniosku, że za biały kolor odpowiada pokrywająca ją pleśń. Zdawała się nie osłabiać jej w żaden sposób. Zupełnie jakby była tam od zawsze.

Pomarszczone kartki sprawiały wrażenie, że do ich stworzenia użyto starej skóry. Kolor nieprzyjemnie kojarzył się z ludzkim, a atrament w rozmaitych odcieniach czerwieni potęgował aurę zła.

Kasztelan Groblina poświęcił jej się bez reszty na dwa dni, ostrożnie i pomału studiując niepokojącą treść. Nawet on, w całej swojej obsesji nie ryzykował dotyknięcia stronic gołą ręką, zamiast tego opancerzył ją w wygrzebaną z ruin kolczą rękawicę. W tym czasie

jego uczniowie robili co w ich mocy, aby zapewnić minimum egzystencji tak jemu, jak i Róży. Cały czas musieli uważać, by nie ściągnąć grasujących po okolicy Szwedów.

Mimo to noworodek przybierał szybko na sile. Już drugiego dnia zdołał otworzyć oczy, a jego krzyki nadal pozostawały zdrowe i silne.

Róża właśnie go karmiła, słuchając uspokajającej pieśni Telimeny, gdy Zabramski wyszedł ze zbezczeszczonej przez heretyków kaplicy. Chwiał się lekko na nogach, włosy i brodę miał zmierzwiłone, a oczy głęboko podkrążone, ale pełgał w nich wewnętrzny ogień.

— Znalazłem! — powiedział z mocą. — Jutro o świcie wyruszymy na Polanę Młodego Słońca. Położymy kres szwedzkiej inwazji! Śledzie zapłacą krwią za wszystkie krzywdy wyrządzone nam i ukochanej ojczyźnie!

Wzniósł pozostałą mu dłoń w zwycięskim, energicznym geście, który porwał jego uczniów. Zaczęli krzyczeć i wiwatować. Krzysia również się uśmiechała i klaskała z radości, choć czuła ukłucie trwogi. Była pewna, że gdy mistrz zamykał się z księgą przedwczoraj, kolcza rękawica nie była tak pordzewiała jak teraz...

Polana Młodego Słońca znajdowała się w zakolu Sanu, parędziesiąt kilometrów od miejsca, w którym wpadał on do Wisły. Nie była to jej prawdziwa nazwa, jedynie uczniowie Zabramskiego, a wcześniej Sędziwoja z niej korzystali. Zbierali się tu co roku po przesileniu zimowym, aby odprawić własne rytuały i oddać hołd prawom natury. Było to spore i urokliwe miejsce, otoczone z dwóch stron przez szumiącą rzekę, a z pozostałych przez prastary las. Półkolem po zachodniej stronie ustawiono siedziska z dębowych pni, a ziemia na środku nosiła ślady częstych ognisk.

Tym razem Olgierd nakazał uprzątnięcie wszystkich jego pozostałości i strzępów roślin, aż do gołej ziemi. Następnie przez parę godzin udeptywali ją na równą, gładką powierzchnię. Mistrz chodził między nimi i nadzorował pracę. Nie mogło tu być żadnej nierówności. Józefina zażartowała, że szykują się jak na przyjazd samego króla. Zabramski z powagą odparł, że ich gość będzie o wiele ważniejszy od ICRA, a nawet od Karola Gustawa.

Dopiero, gdy wszystko było gotowe, a słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, Olgierd sam przystąpił do pracy. Po kolei ustawiał swoich uczniów. Gdy pytali, jak mogą mu

pomóc, odpowiadał, aby tylko nie ruszali się ze wskazanych miejsc. Kiedy był już zadowolony z ich ustawienia, ruszył między nich, wycinając w wygładzonej ziemi skomplikowane wzory za pomocą pogrzebacza. Było to karykaturalne narzędzie do takiego zadania, ale wszelkie złote i srebrne rylce zostały zrabowane przez najeźdźców.

W miarę jak kolejne elementy wzoru pojawiały się na ziemi, uczniowie dostrzegli, że ich otaczają. Ogarnął ich niepokój. Zaczęło się od niespokojnych spojrzeń i szeptów. Co głośniejsze głosy były uciszane przez inne, tylko po to, aby same za moment zaczęły szeptać własne wątpliwości.

Zabramski kończył już drugi krąg, gdy zaczęli się wiercić.

— Stójcie żeż spokojnie — skarcił ich z irytacją.

— Panie — Krzysia odezwała się twardo, gdy inni zamarli. — Nadszedł chyba czas abyś powiedział nam co zamierzasz.

Olgierd poderwał na nią wzrok, w którym płonął płomień gniewu, jednak uczennica nie ugięła się. Grymas bólu przeciął jego twarz, lecz zaraz pojawił się na niej cień uśmiechu.

Zniknął równie nagle.

— Masz rację, moja droga — odrzekł ciężko, wyciągając kolorowe zawiniątko. — Niektórzy z was wiedzą, co to za książka. Biskup Struś dał mi ją na przechowanie przed blisko pięć laty. *Syntiakes Adi*. Księga ta jest przeklęta i wiele osób przywiodła do zguby. Jej stronicie mówią o przyzywaniu demonów, o paktowaniu z nimi i zmuszaniu do wykonywania woli przyzywającego.

Powiedział to spokojnym, rzeczowym tonem, ale jego ósemka zareagowała, jakby na nich nawrzeszczał. Zaczęli się wiercić, mówić jeden przez drugiego. Zabramski zmarszczył brwi, obawiając się, że mogą naruszyć wycięte już wzory.

— Spokój! — głos Krzysy przebił się nad pozostałe. — Nie zachowujcie się jak smarkacze! Mistrz na pewno wie co robi i wszystko nam wyjaśni!

— Dziękuję ci, moja droga — odpowiedział uśmiechając się, ale twarz zaraz mu spoważniała. — Jeszcze przed tygodniem nawet bym nie pomyślał o wertowaniu *Syntiakesa*, ale sami widzicie na co nam przyszło... Zamek spalony, nasi bliscy pomordowani, śmierć i pożoga hulają po Polsce jak pijani kozacy po babińcu.

Odsłaniając białą książkę, uniósł ją wysoko.

— Dzięki temu możemy ich powstrzymać! Przyzwę demona, któremu heretycy nie będą mieli się jak sprzeciwić. Spuszczę biesa na ich przeklęte dusze, niech żywi się ich ciałem i syci cierpieniem! Zapłacą mi... zapłacą nam za wszelkie krzywdy, jakie nam wyrządzili!

W miarę tego jak mówił, grymas wykrzywił mu twarz. Nabierała iście potworzonego wyrazu, gniewu, cierpienia... zła. Pospiesznie zawiązał książkę z powrotem. Odechnął przy tym ciężko.

Ósemka uczniów milczała przez chwile, rozważając jego słowa. Napłynęły do nich wspomnienia tragedii. Nie byli w zamku gdy padł, dzięki czemu zachowali życie, ale każde z nich nosiło piętno jakiejś tragedii, zadane szwedzkim orężem.

— Czego oczekujesz od nas, mistrzu? — tym razem pierwsza odezwała się Honorata z ciężkim akcentem śląskich górali. Pozostali poparli ją kiwając głowami.

Olgierd na moment zakrył oczy dłonią. Przetarł twarz, pociągnął nosem, chcąc dojść do siebie.

— Musicie tylko pozostać na swoich miejscach, naprawdę. Nie mamy dziesiątek członków przeklętego kultu, ani nie jestem skłonny składać... krwawej ofiary z dziewicy, w celu zdobycia mocy wymaganej do uwięzienia tak potężnego biesa, jaki jest nam potrzebny. Stąd musimy użyć techniki trzech kręgów...

Ujął w dłoń pogrzebacz i znów ruszył pomiędzy nich, kreśląc odpowiednie wzory i tłumacząc im wszystko.

Trzy dekoncentryczne kręgi, Życia, Siły i Umysłu, opisane w trzech starożytnych językach, oddające cześć różnym panteonom. Na pierwszym, mistrz umieścił kobiety, dawczynie życia i nadziei. Róża miała być tu najważniejsza, jako że obdarzyła niedawno świat cudem nowego istnienia. Drugi krąg opierał się na obu mężczyznach i Krzysi. Zabramski przeprosił ją za to. Gdyby miał trzeciego ucznia, zająłby jej miejsce, musiała jednak jeszcze raz wykazać się swoją niezwykłą siłą. Trzeci krąg kasztelan wziął na siebie.

— Z niego będę mógł zetrzeć się z inteligencją i wolą biesa, złamać ją i zmusić go do wykonania moich poleceń... Do zniszczenia naszych wrogów. — wyjaśniał, następnie popatrzył na bawiącą noworodka kobietę. — Różo, musisz oddać mi synka.

— P... panie? — w oczach młodej matki pojawił się błysk strachu, widoczny nawet w zapadającej ciemności.

— Przecież nie mogę zostawić go z tobą, zakłóciłby równowagę istnień... A przebywanie tak blisko piekielnej istoty dla umysłu niechronionego wolą i osobowością, byłoby bardzo niebezpieczne.

Rudowłosa pokiwała głową, ale przycisnęła dziecko mocniej do piersi. Olgierd rozumiał ją doskonale. Pamiętał, jak jego córki były takimi delikatnymi okruszkami.

Jego córki...

Zagryzając wąsa, podszedł do kobiety, ta jednak skuliła się trwożnie.

— Mistrzu... czy... czy to naprawdę konieczne?

— Tak. Uwierz mi moja droga, gdybym miał cię kim zastąpić... Gdybym miał kogośkolwiek z was kim zastąpić, zrobiłbym to bez wahania. Musisz... — odetchnął głęboko. — Musisz mi zaufać, moja droga.

— U... ufam ci, mistrzu — odparła, siląc się na uśmiech. Zakołysała chłopczyka w ramionach, uśmiechnęła się do niego najpłomiennie, jak umiała i pocałowała go w pomarszczone czołko. Dzieciątko ziewnęło zmęczone, przesuwając rączką po jej twarzy. W oczach kobiety pojawiły się łzy.

— Musisz na chwilę iść do wujka — wyszeptła malcowi. — Mamusia zaraz cię odbierze.

Odsunęła go drżącymi rękami. Zabramski ujął go wprawnie i pomógł kobiecie ułożyć dziecko na swoim przedramieniu. Chłopczyk ziewnął jeszcze raz i zasnął.

Dzień już się skończył. Słońce skryło się za horyzontem, wieczorny wiatr od Sanu pachniał wilgocią przemieszaną z wonią lasu. Nocne ptactwo zaczęło swe trele.

— Pójdź... pójdź... — doleciał od strony drzew głos sowy i wszyscy drgnęli wiedząc, że zwiastuje on śmierć. Tylko kasztelan pokiwał głową.

— Pójdą, moja droga. Szwedzi całymi regimentami pójdą na spotkanie twojej pani.

Kołysząc malca na ręce zaczął chodzić wokół kręgów, nad każdym elementem wypowiadając tajemne formuły. Krzysia obserwowała go pełnymi zachwyty oczami. Znała go prawie całe życie i szczerze kochała dojrzałą miłością uczennicy. W ciągu ostatnich dni jej podziw wzrósł jeszcze bardziej, bo Zabramski udowodnił, że jest w zasadzie niezniszczalny.

Żałowała, że nie zna żadnego z języków, którymi zaklęte były kręgi, aby móc nie tylko słyszeć, ale również zrozumieć inkantacje wypowiedane przez mistrza. Czuła płynącą z nich moc.

Świat również zdawał się ją wyczuwać. Wiatr stopniowo ustawał, ptaki milkły, nawet szum rzeki zdawał się zanikać. Robiło się również coraz ciemniej, bo na niebie zaczęły zbierać się czarne, nieprzyjemnie wyglądające chmury.

W pewnej chwili, gdy Zabramski wyszedł już poza ostatni krąg, w tej gęstniejącej ciemności pojawiło się światło. Białe, lśniące drobinki, jakby srebra, albo gwiazdy, które odkleiły się od płaszcza nocy. Uczniowie zaczęli się im przyglądać i zorientowali się, że połyskują w wyżłobionych liniach. Zdawały się wypełniać je coraz bardziej. Krzysi skojarzyły się z rtęcią wyciekającą spod ziem.

Uśmiechnęła się zadowolona. W końcu zaczęła wyraźnie widzieć wzór kręgów i zakłęk. Miała wrażenie, że wypala się on w jej umyśle i już zawsze będzie w stanie przypomnieć go sobie. Do końca życia.

Popatrzyła na mistrza i uśmiechnęła się promiennie. Stał na swoim miejscu, w kręgu umysłu, z zaciętym wyrazem twarzy i marsowym czołem, z dziecięciami na rękę. Gestykulował kikutem w powietrzu. Wyglądał majestatycznie, dostojnie. Pięknie.

I tylko coś, jakiś jeden element jej nie pasował. Psuł ten piękny obraz, piękny wzór. Wzór...

Drgnęła, przypominając sobie jego słowa. Chłopczyk nie mógł pozostać z matką, aby nie zakłócić równowagi istnień. To rozumiała. Dziewięć osób, trzy dekoncentryczne kręgi. Pięć, trzy i jeden.

Mistrz również nie mógł mieć go na rękę. Choć nie wątpiła, że w najdalszym punkcie noworodek będzie bezpieczniejszy, to nadal zakłócał równowagę. Zakłócał matematykę, naukę stojącą za wszelkim zrozumieniem. On i mistrz nie mogli stać w obrębie ostatniego kręgu, bo nic z rytuału nie wyjdzie. Albo, co gorsza przybierze on niewiadomy obrót.

— Mistrzu... — zaczęła, ale w tym właśnie momencie Olgierd Zabramski podniósł głos do krzyku, wyrzucając z siebie dziwne poskręcane zgłoski. Uczniowie drgnęli pod ich brzmieniem, czując ból w uszach, sercach i duszach. Kobieta zrozumiała, że tymi zgłoskami są imiona demonów, nazwy zła, których żaden człowiek nie powinien znać, ani tym bardziej wypowiadać.

Zrozumiała, że rytuał ma się ku końcowi. Jej mistrz z jakiegoś powodu nie pojmował, że popełnia błąd i aż skurczyła się w sobie, uznając że to jej wina. Powinna go zmusić, aby odpoczął po studiach tak przeklętego traktatu, jakim był *Syntiakes Adi* albo nawet wyleczyć najpierw jego rany.

Zrozumiała, że musi to przerwać nim będzie za późno. Spróbują ponownie jutro, rozumiejąc już, co musi być zrobione. Krzyknęła znów, ale jej głos utonął w potoku bluźnierstw wypowiedzianych przez Zabramskiego. A to oznaczało, że pozostało jej tylko przerwanie kręgu.

Zrobiła krok i uderzyła w niewidzialną ścianę.

Zaskoczona oparła rękę na pustym powietrzu. Nacisnęła mocniej, ale nie była w stanie przepchnąć jej dalej. Naparła drugą i efekt był taki sam. Powiodła nimi na boki. Zorientowała się, że niewidzialna ściana ma kształt cylindra otaczającego ją ze wszystkich stron.

Dokładnie w miejscu, w którym robił to lśniący, wycięty w ziemi krąg.

— Mistrzu? — sapnęła, nic nie rozumiejąc. Zaraz potem na środku polany załśniło nowe światło. Inne, zgniłoczerwone jak jabłko, które zgniło już na gałęzi. Wszyscy poparli ku niemu. Było niewielkie i pulsowało delikatnie, niby bijące serce.

Wraz z kolejnymi słowami Zabramskiego pulsowało coraz szybciej... i rosło!

Fala dławiącego smrodu buchnęła we wszystkich kierunkach. Alina i Honorata złapały się za twarze i szarpnęły w tył, trafiając na takie same bariery jak wcześniej Krzysia. Odwróciły się skołowane, zaczęły na nie napierać, bić pięściami, kopać. Bezowocnie.

Ich zachowanie udzieliło się pozostałym. Kobiety dotknęły granic swoich więzień, mężczyźni naparli na swoje. Nie mieli dość miejsca, aby się rozpędzić, ale Krzysia wątpiła, by zdołali je przebić nawet taranem.

— Mistrzu! — krzyknęła z całej siły i tym razem jej głos przebił się nad jego. Spojrzeli na siebie i dostrzegła w jego oczach łzy.

— Wybaczcie... — zdawały się powiedzieć jego usta, ale spłynęło z nich jeszcze jedno bluźnierstwo. Zrobił długi krok do tyłu, pozostawiając za sobą w kręgu noworodka. O dziwo dziecko ciągle spało, ale Krzysia nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

Zgniłe światło w centrum kręgów zapadło się w sobie i eksplodowało z ogłuszającą ciszą oraz ruchem powietrza, który cisnął nimi na ściany niewidzialnych cel. Oślepli na moment z braku czerwonego blasku, a gdy odzyskali wzrok, natychmiast tego pożałowali.

Pomiędzy nimi stała istota, przed którą uprzedzali ich księża, którą straszili ich rodzice i piastunki, o której opowiadali szeptem przy ogniskach ich przodkowie od zara-

nia świata. Demon był olbrzymem mającym znacznie ponad trzy metry wzrostu i zdającym się szerszym niż wyższym. Zgniłoczerwona skóra opinała mu ogromne, stalowe mięśnie, a zakończone wielkimi kopytami nogi aż zapadały się w ziemię.

Rogaty łeb zdawał się być pozbawiony skóry. W kościstych oczodołach błyszcząca czerwona kipiela, a gdy rozchylił pełne kłów szczęki, dało się dojrzeć buzujący w nich ogień. Mimo to zdolny był do ekspresji, co udowodnił, gdy jego potworne oblicze wykrzywił uśmiech.

Zarechotał powolnym, dudniącym, jakby narastającym śmiechem, bardziej teatralnym niż rozbawionym, pełnym zadowolenia.

— A więc kolejny alchemik stał się czarnoksiężnikiem. Jak miło.

Wyciągnął szponiastą łapę i nacisnął na granicę kręgu Siły. W miejscu, w którym jej dotknął, pojawiły się białe ogniki, zdawały się jednak nie czynić mu żadnej krzywdy.

— Wzór z *Syntiakesa*, dawno go nie widziałem. Dobrze wiedzieć, że ta broszurka ciągle krąży po waszym świecie. — Przekrzywił łeb, przesuając czerwonym wzrokiem po osobach uwięzionych w kręgach. — I nawet pamiętałeś o zabawkach. Jaki miły gospodarz...

Uczniowie zaczęli kolejno krzyżeć, gdy zatrzymywał na nich wzrok. Krzysia zrozumiała dlaczego, kiedy przyszła jej kolej. Czerwone kipiela w głębi jego oczodołów wyglądały na pełne czerwi i innego robactwa. Gdy spojrział, poczuła jakby to robactwo zaczęło poruszać się po jej ciele, pod ubraniem.

Pod skórą.

Krzyżała z bólu i trzęsła się z obrzydzenia, gdy fizyczne spojrzenie demona objęło ją całą. Chciała zebrać się w sobie, przywołać jakiś obronny gest, modlitwę, akt woli, który zdoła odepchnąć od niej moc bestii, ale na próżno.

Dopiero gdy demon popatrzył dalej, robactwo zniknęło. Krzysia opadła na kolana, opierając czoło o niewidoczną barierę. Trzęsła się cała. Kątem oka widziała, jak Telimena, która była ofiarą potwora moment wcześniej, bije o niewidzialną ścianę z całej siły głową, nic to jednak nie dawało.

Nawet w śmierć nie mieli jak uciec.

— Taaak... — demon mruknął zadowolony. — Zaprawdę, podoba mi się sposób w jaki podchodzisz do interesów panie Zabramski. Niemal nie widać, że to twój pierwszy

raz, choć na przyszłość wycinaj wzory czymś bardziej dystygowanym niż brudny pogrzebacz. Trzeba dbać o pewien poziom kultury...

— Nie wezwałem cię tu na wieczorne pogawędki, biesie — przerwał mu kasztelan.
— Mamy tu dobić targu, zrobmy to więc.

Demon pokręcił głową, a jego potworna fizjonomia przemieniła się w maskę smutku.

— Ta niecierpliwość młodzieży... — jego szczęki znów wykrzywiły się w uśmiechu.
— Czego więc żądasz, kasztelanie? I co oferujesz w zamian?

— Wrogowie napadli na mój kraj, jak biblijny Potop go zalali. Zabili mi rodzinę, zamordowali niezliczonych innych, zniszczyli wszystko, czego nie zdołali zrabować. Chcę aby zapłacili. Chcę abyś ich dopadł. Przeraził, okaleczył i zabił!

— Hmm... — potwór wyprostował się, zakrywając usta dłonią w zamyśleniu. — Mało to precyzyjne. Domyślam się, że chodzi ci o Szwedów Karola Gustawa, ale o których? Jak mam rozpoznać tych, co zabili ci rodzinę?

— Nie masz. Chcę abyś dopadł ich wszystkich. Abyś zabił każdego Szweda na świecie!

— Hyhyhy, lubię być doceniany, ale obawiam się, że to ponad moje możliwości. Nie nadążyłbym ich zabijać, jak rodziliby się nowi.

— To weź inne diabły do pomocy.

— Nie zamierzam się... dzielić — w głosie potwora pojawiła się nowa nuta, gdy z mocą wypowiedział ostatnie słowo. — Bądź rozsądny, czarnoksiężniku.

— Dobrze. Niech więc śmierć z twojej ręki dosięgnie każdego Szweda przebywającego w granicach Rzeczypospolitej...

— Za mało precyzyjne! Co z dziećmi mieszanych małżeństw? Co z tymi co umrą z przyczyn naturalnych, nim do nich dotrę? Nie jestem Żydem, aby wykorzystywać luki w kontrakcie. Musisz dokładnie powiedzieć kto ma zginąć z mej ręki!

Olgierd zaklął szpetnie, co demon nagroził pełnym uznania skinieniem głowy. Mężczyzna przecesał włosy palcami, myśląc szybko.

— Dobra, a więc tak. Masz ruszyć w Rzeczypospolitą i zabijać szwedzkich żołnierzy i służących im zdrajców. Każdego, od ostatniego pachołka, po samego Karola, jeśli go spotkasz. Masz oddzielać ich głowy od ciał i wracać z nimi tutaj, a następnie usypać z nich

kopiec, większy od krakowskich! Wszystkich, razem wziętych! — z każdym wypowiedzanym słowem w jego głosie pojawiał się coraz większy gniew, coraz większa pewność. Pasa! Sam dał się porwać mocy wizji pomsty, jaką wytworzył jego umysł.

Demon odchylił głowę i zaśmiał się gardłowo.

— No, to rozumiem! Nie jakieś tam dyrdymały, a konkretna góra czaszek, jak za starych, dobrych czasów — opuścił głowę i spojrzął z politowaniem na Olgierda. — Obawiam się jednak, że nie stać cię na to. Znam twoją sytuację, widziałem ruiny zamku. Tych dziewięć żyć co tu przywiodłeś, to o wiele za mało. Co powiesz na kopczyk, tak tej wysokości, co najmniej równie szeroki u podstawy jak wysoki?

Mówiąc to ustawił dłoń na wysokości swojej piersi

— Nie kpij ze mnie! — warknął człowiek. — To ja cię tu sprowadziłem i mogę odebrać kiedy zechcę! Piekło aż pęka w szwach od demonów, gotowych zrobić znacznie więcej w zamian za taką ofiarę.

— Przecenisz się. I ich — odparł bies, ale jowialność zniknęła z jego oblicza. — Dziewięć żyć wartych jest dziewięć żyć. Te są młode, fakt... i co nieco wyczulone na kwestie magiczne, to też się liczy... ale w zamian za nich mogę zaoferować ci pięćdziesiąt ofiar, nie więcej. I nikt więcej nie zaoferuje.

— Zaoferują. I ty też... — powiedział Olgierd, wskazując na noworodka nienaturalnie ciągle śpiącego u szczytu kręgu Umysłu.

— Nie! — Róża wrzasnęła na całe gardło, reszta uczniów też zaczęła walić w ściany swych cel. Tylko kobieta z kręgu Siły stała niczym słup soli.

— Pędrak? Widziałem go od początku i za niego jestem skłonny dać połowę zaoferowanej kwoty. Nie jest wart więcej.

Zabramski nie odezwał się od razu, odetchnął najpierw głęboko kilka razy, ale jego ręka i tak drżała, gdy podniósł ją, aby wskazać Różę.

— To jest jego matka — powiedział grobowym tonem, a następnie wskazał Krzysię. — A to kobieta, która sięgnęła do jej wnętrza, aby własnymi rękami sprowadzić go na ten świat.

Bies odwrócił się, aby popatrzeć najpierw na jedną, potem na drugą. Obie krzyknęły, znów czując na sobie robaki jego wzroku. Kipieli oczu demona zalsniła żywą czerwienią.

— Potrójne sprzężenie? Nie łżesz aby?!

— Nie, zresztą sam to poczujesz gdy... wiesz zresztą. Oto moja oferta. Kręgi Życia i Siły jako przedpłata i abyś miał moc wykonać swoje zadanie. Chłopak, gdy będzie po wszystkim. Co mi za to zaoferujesz?

Demon ponownie odchylił rogiaty łeb i zaniósł się śmiechem. Tym razem zadowolonym.

— Za tak napiętnowaną duszę noworodka wzniosę ci tu ze szwedzkich łbów kopic taki, jak ten co usypaliście przed tysiącem lat dla waszego Kraka. Tysiące Śledzi zdechnie z mych rąk i od mojego ostrza, a ty będziesz mógł naszczać na ich szczątki! Naturalnie zacznę z tego miejsca, więc regiment, który zabawił się twoimi „skarbeczkami” zdechnie dość prędko. Zgoda, kasztelanie Olgierdzie Zabramski?

— Żądam też twojego imienia! Prawdziwego imienia, abyś nie mógł rozszarpać mnie, gdy tylko skończy się twoja misja.

— Taka pamięć za pierwszym razem — bies skinął głową z uznaniem. — Niech będzie. Oczywiście ci go nie powiem, aby żadna z tych tu zabaweczek nie mogła go użyć przeciw mnie, ale popatrz tutaj.

Wysunął rękę w bok i w jego dłoni pojawił się czarny miecz. Była to wielka, pokracczna broń. Absolutnie niepraktyczna. Zamiast zbrocza miała płaskorzeźby krzyczących twarzy, a ostrze wieńczyły dwa nierówne sztychy. Potwór obrócił ją z łatwością i trzymając głowicą do góry zaczął żłobić linie u swych stóp. Gdy skończył, poruszył nad nimi dłonią i napis zalśnił zgnióczerwonym blaskiem.

— Mniemam, że wiesz co z nim zrobić?

Zabramski pokiwał głową, ponownie pobladły.

— A więc jak? Mamy umowę?

Uczniowie przeszli kasztelana błagalnymi, gniewnymi lub nierozumiejącymi spojrzeniami. Zachwiał się wyraźnie pod ich ciężarem, twarz nabiegła mu krwią, kikut znów zaczął krwawić, a z oczu popłynęły łzy. Nie były to jednak pierwsze takie spojrzenia, które widział w tym tygodniu. A tamte były mu znacznie bliższe.

— Zgoda... Rób swoje — wyszeptał drżącym głosem.

— Z dziką radością! — demon ryknął w odpowiedzi, przeciągając się i powoli zaczynając przyglądać kobietom w najbliższym kręgu.

— Entliczek, pętliczek...

Kasztelan Zabramski klęczał na zbryzganej krwią ziemi Polany Młodego Słońca. Klęczał i płakał. Z całej siły zaciskał zęby, aby nie ryczeć jak dziecko.

Demon... nie śpieszył się. Podchodził do kobiet z pierwszego kręgu po kolei, rozdzierając więzące je cele, jak skorupki jajka. Był miły, grzeczny, wręcz delikatny. Do momentu w którym położył na nich swe łapy.

Wtedy po prostu zgwałcił je po kolei. Żadna tego nie przeżyła. Ogromny fallus demona, który wyrósł nagle z jego krocza, przypominał bardziej trzecią nogę, niż jakąkolwiek męskość przeznaczoną dla ludzkiego rodu. Nie było szans, aby mógł zmieścić się w kobiecie, ale bies się tym nie przejmował.

Zabramski zwymiotował, gdy zobaczył, jak Józefina zostaje rozerwana od środka. Jej krew była pierwsza i wywołała nową lawinę krzyków uwiecznionych ofiar. Pobrzmiwał w nich terror, gniew.

I oskarżenia.

To pod ich uderzeniem, kasztelan padł na kolana. Zacisnął powieki. Chciał zatkać uszy, ale nie miał jak. W akcie desperacji docisnął krwawiący kikut do małżowiny. Nic to nie dało.

Musiał to słyszeć. To była jego kara. Krzyki ostatnich drogich mu osób na tym zafajdanym świecie, a które poświęcił dla uciechy piekielnego potwora. „Chociaż”, jak pytał sam siebie w tym co zostało z jego duszy, „który z nas jest większym potworem?”

Następnie bies skierował swoją uwagę na drugi krąg. Tu zaczął od mężczyzn. Nie był sodomitą, dla Adama i Zygmunta przeznaczył śmierć od swojego miecza. Nie była to jednak łaska. Choć niepraktyczne, pchnięte z demoniczną siłą ostrze przebijało ich ciała na wskroś. Wtedy oblicza na płazie zdawały się ożywać. Krzyk uczniów przeszedł we wrzask, a ten w wycie, gdy zaczęły ich pożerać, wielkimi kęsami oddzierając ciało od kości, aż na ziemię nie upadły tylko okrwawione szkielety.

Dopiero gdy zginęli, kasztelan zorientował się, że zapadła cisza. Zdziwiony tym otworzył oczy i popatrzył ku kręgowi.

Od razu tego pożałował.

Krzysia stała w swojej niewidzialnej celi, bez ruchu, nie okazując trwogi. Nie patrzyła na demona. Spoglądała na Zabramskiego, a w jej oczach kryła się śmierć. Nienawiść tak twarda, tak lodowata, jaką może żywić tylko ktoś, kogo wcześniej przepełniała miłość.

Bies podszedł do niej od tyłu, powoli, dystyngowanie. Rozdarł barierę jej celi a potem suknie. Dźwięk prutego materiału zdał się kolejnym krzykiem protestu przeciw zbrodni Olgierda.

Czart ujął ramiona kobiety, zmuszając ją, aby się pochyliła. Jej twarz nawet nie drgnęła, zdawała się być pogodzona ze swoim losem i wpatrzona jedynie w winowajcę.

Wtedy w jej dłoni zalśnił sztylet.

— Nie! — Olgierd krzyknął odruchowo, ale było już za późno. Krzysia wbiła sobie sztylet w pierś, szybkim, silnym pchnięciem, aż po rękojeść. Nie trafiła jednak w serce. Sztylet ześlizgnął się po żebrze i uszkodził tylko aortę. Śmierć była pewna, ale nie natychmiastowa...

Najwierniejsza i najsilniejsza uczennica nie zdołała uniknąć koszmaru gwałtu nawet za cenę samobójstwa. To wtedy kasztelan zaczął płakać i nie zdołał już przestać.

Demon gwałcił ją długo, nawet gdy już zmarła.

Gdy skończył, wyszedł z kręgu i podszedł do kasztelana. Bijący od niego smród sprawił, że człowiek aż się zakrztusił.

— No, już, już... — zagadnął go demon, zarzucając miecz na muskularne ramię. — Nie becziecie jak stara baba nad rozlanym mlekiem, bo nie ma nic bardziej żalosego jak płaczący czarownik.

Zabramski posłał mu wściekłe spojrzenie, ale i on poczuł w sobie robactwo, gdy popatrzył w oczy biesa. Wewnętrzne obrzydzenie i dreszcz pomogły mu się pozbierać.

— Idź... — wycharczał przez ściśnięte gardło. — Idź i zabij tych skurwysynów.

Kły ułożyły się w uśmiech.

— Tak zrobię. Zgodnie z naszą umową, kopiec szwedzkich głów, za tamtego dzieciaka.

Mężczyzna popatrzył na noworodka leżącego w magicznym kokonie ostatniego kręgu. Lśniące linie nie oznaczały Umysłu. Oznaczały Nagrodę. Moc paktu sprawiała, że chłopczyk będzie spał, nie musząc jeść, pić ani nawet oddychać. Śmierć nie miała do niego żadnego dostępu, do czasu aż bies wywiąże się ze swojego zadania.

A wtedy...

Demon, jakby odgadując jego myśli, zaśmiał się jeszcze, po czym odszedł. Kasztelan został sam z ciałami najbliższych, których zdradził. Łzy ponownie popłynęły mu z oczu, ale zmusił się aby wstać. Praca była już wykonana, musiał tylko poczekać na jej owoce.

Odszedł nad rzekę obmyć się i zmienić opatrunki. Wiedział, że powinien coś zjeść, ale nie wyobrażał sobie, aby jakikolwiek kęs mógł przejść mu przez gardło. Zamiast jedzenia, wziął garniec francuskiego czerwonego z przyniesionych zapasów i położył się w krzakach. Chciał się przespać, ale nawet po osuszeniu naczynia, krzyki i obrazy nie chciały zniknąć z jego umysłu.

Demon wrócił przed świtem, niosąc w obu rękach trzymane za włosy kiście ludzkich głów. Na twarzach szwedzkich żołnierzy zastygł wyraz skrajnego przerażenia i bólu. Gdy wylądowały pod nogami kasztelana, krzyki po raz pierwszy na chwilę przycichły.

— No! Wiedziałem, że zrobi ci się lżej — uśmiechnął się bies. — Trafiłem na cały regiment. Jeszcze ze trzy razy będę musiał latać w te i nazad z tymi czerepami.

Skinął człowiekowi głową i znów zniknął między drzewami. W ciągu kilku kolejnych godzin na polanie powstał stos sięgający Zabramskiemu do pasa. Z każdym kolejnym trofeum miał wrażenie, że gniotący go ciężar robi się lżejszy. W południe zdołał nawet przełknąć trochę chleba, a niedługo potem szum liści, rzeki i przemęczenie wystąpiły go w krainę snu.

Obudził się wieczorem, choć daleki był od bycia wypoczętym. Przetarł przekrwione oczy, odetchnął głębiej i aż się zakrztusił. To smród go obudził. Zasłonił twarz rękawem koszuli, po czym spojrzał na polanę.

Ciepły i słoneczny dzień przyśpieszał proces rozkładu. Kasztelan odruchowo położył się po zawietrznej, ale wraz z nadejściem nocy zmieniał się wiatr. Mężczyzna zrozumiał, że będzie musiał coś z tym zrobić. Przez chwilę jeszcze się wahał, ale uznał, że przynajmniej tyle może dla nich zrobić.

Usypanie odpowiednio dużego stosu zajęło mu kilka godzin. Byłoby dłużej, gdyby nie fakt, że leśnicy, na jego polecenie, dbali o stały, odpowiedni zapas opału przy Polanie. Choć był kompletnie przeпоcony i zmęczony, pojmował, że najgorsza część pracy dopiero przed nim.

Kiedy dotykał ciał kolejnych ze swoich uczniów, pamięć, jego przeklęta pamięć, zaczynała bombardować go związanymi z nimi wspomnieniami. Tymi dawnymi, dobrymi. Dowodami oddania i lojalności. Oraz obrazami tego, na co ich skazał. Kasztelan na przemian bladł i czerwieniał, jego oddech robił się cienki i urywany, serce zaś waliło o żebra jakby chciało ukarać go za to, co zrobił. Musiał robić co chwilę przerwy, aby dojść do siebie.

Las wokół był cichy i spokojny. Lekka, rzeczna bryza przynosiła cichy poszum Sanu. Żadne zwierzę nie wkroczyło od wczoraj na polanę. Nawet padlinożerne ptactwo trzymało się z daleka. W końcu pozostała mu tylko jedna ofiara. Ta najgorsza.

Powoli, powłócząc nogami podszedł do ciała Krzysztofy. Wspomnienia z nią związane uderzyły go jak armatnie kule. Zachwiał się pod ich ostrzałem. Sięgnął ku niej i dostrzegł, jak mocno trzęsie mu się ręka. „Muszę poprosić Krzysię, aby mi pomogła” pomyślał odruchowo i myśl ta zwała go z nóg. Zwinął się w kłębek i załkał jak małe dziecko.

Płakał przez chwilę. W końcu, oddychając z trudem i pociągając nosem, sięgnął ku niej i przewrócił na plecy. W jej piersi ciągle sterczała rękojeść sztyletu, godząc w niebo, jakby palec wzniesiony w wieczystym napomnieniu, że to jego wina.

Nie mogąc na to patrzeć, Zabramski złapał za trzonek i wyszarpnął go. Odrzuciwszy precz, potarł sztywną, woskową twarz najwierniejszej ze swoich uczennic.

— Wybacz mi... — wyszeptał. — Choć ty jedna mi wybacz...

— Nigdy! — odpowiedziała kobieta.

Kasztelan krzyknął głośno. Szarpnął się w tył upadając na ziemię i skołowany popatrzył na ciało. Głos nie pochodził jednak z niego. Rozejrzał się nic nie rozumiejąc.

Dojrzał ją między drzewami.

Krzysia unosiła się trochę nad ziemią, wyglądając jakby składała się z błękitnawej mgły. Miała na sobie tę samą suknię, co w dniu śmierci, ale ciągle całą. Między jednym, a drugim ruchem powiek kasztelana, zjawa pojawiła się tuż przed nim.

— Przeklinam cię, Olgierdzie Zabramski! — zaskrzeczała głosem, od którego zabołały go uszy. Nie mając ich jak zasłonić, zmusił się, aby podnieść swoje ciało na nogi. Chciał się odsunąć, odbiec od ducha, choć wiedział, że to bezcelowe. Nie był to pierwszy gość z zaświatów, z którym się spotkał.

— Zgiń, przepadnij... — wymamrotał zaciskając powieki, czyniąc kikutem znak krzyża. — Odejdź tam gdzie twoje miejsce i nie męcz więcej żywych.

Uniół powieki. Oblicze zjawy znajdowało się tuż przed jego oczami. Z twarzy kobiety spłynęło całe ciało, ukazując nagą, upiorną czaszkę.

— Szarlatanów Bóg nie chroni, zapomniałeś mistrzu? — zaskrzeczała Krzysia, czynając go okrążyć. — Jesteś zdrajcą, nie tylko w naszych, ale i w Jego oczach. Nie ma dla ciebie łaski. Nie ma dla ciebie wybaczenia. Tylko śmierć i potępienie!

Olgierd dreptał w miejscu, starając się mieć ją cały czas przed sobą.

— Śmierć i potępienie z mojej ręki!

To go otrzeźwiło. Groźba równie jawna, co bezsilna.

— Nie — wyszeptał, zmuszając się aby spojrzeć jej w oczy. — Jesteś tylko skrzywdzonym duchem. Nie jesteś w stanie zranić nikogo żywego. Tak jak ja nie byłem w stanie skrzywdzić Szwedów... Mam nadzieję, że kiedyś mnie zrozumiesz.

Zatrzymała się i wyciągnęła ku niemu szponiaste ręce. Pozwolił jej na to wiedząc, że nic mu nie grozi, choć jego umysł szarpnął się instynktownie, gdy widmowe dłonie wniknęły w jego tors.

— Widzisz? — spytał ze smutkiem, gdy ciało znów pojawiło się na jej pięknej twarzy.

— Wiele się od ciebie nauczyłam, mistrzu... — odparło widmo, cofając się.

Nagle kasztelan poczuł potworne szarpnięcie w plecach. Zalała go fala ostrego bólu. Uszu doszedł dźwięk rozrywanego ciała, prutego materiału. W rozbryzgu krwi z jego piersi wyrwał się sztych miecza.

Głośny skrzek rozdartych płuc spłynął z jego gardła na potoku krwi. Nic nie rozumiejąc, zmusił się, aby przekręcić głowę.

Za nim znajdował się jakiś ogromny mężczyzna. Kątem oka dostrzegał tylko jego głowę, ukrytą pod dziwnym, starożytnym hełmem. Okolone zarostem usta rozchyliły się, odsłaniając mocne zęby w gniewnym warknięciu, po czym nieznajomy pchnął ostrzem tak mocno, że jelcem złamał kasztelanowi kręgosłup.

Ból utopił Zabramskiego w swoich odmętach. Przestał odczuwać cokolwiek poza kolejnymi, coraz większymi falami cierpienia. Nie wiedział, czy morderca wyszarpnął broń i dźga teraz raz za razem, czy wręcz przeciwnie, podniósł go na ostrzu jak pieczeń na rożnie i potrząsa nim nad głową.

Śmierć miłosiernie machnęła nad nim kosą, nim się tego dowiedział.

Uniósł powieki i oślepił go blask. Zastłonił oczy dłońmi, z zaskoczeniem odkrywając, że ma je obie. Usiadł i rozejrzał się. Pierwszym, co zobaczył, były jego własne, martwe oczy i skrwawiona twarz. Stęknął z przestachu i odskoczył od tego widoku jak oparzony. Dopiero wtedy zrozumiał czego doświadczył.

Był martwy, a jego dusza w końcu opuściła ciało. Było to dziwne odczucie, choć nie do końca zaskakujące. W czasie seansów spirytystycznych od innych duchów dowiedział się, czego może oczekiwać.

Pełni możliwości mimo poczucia bezsily. Zdolności płynięcia nad ziemią i przenikania przez objekty. Braku głodu, pragnienia i możliwości wpływania bezpośrednio na świat żywych.

— A więc tak to wygląda... — powiedział cicho, czując gorzkość.

— Dla ciebie, tak... Na razie. — usłyszał z boku. Krzysztofa siedziała na jednej z kłód, spoglądając ku niemu. Nie wyglądała już na zjawę, wydawała się rzeczywista i namacalna. Ze zwieszoną głową podszedł do niej.

— Posłuchaj mnie — poprosił. — Wiem, że to pewnie niewiele znaczy, ale naprawdę jest mi przykro za to, co musiało cię spotkać i przepraszam za to.

— Mylisz się, to nie znaczy wiele. To nie znaczy nic! — Krzysia odrzekła twardo ponosząc na niego spojrzenie. — Więc daruj sobie, zdrajco. Inni przeszli już na drugą stronę, i tak cię nie usłyszą. Ja zaś ukontentuje się swoją zemstą.

— Ukontentujesz? To jeszcze tego nie zrobiłaś? Przecież nie żyję! — tym razem to Zabramski poczuł, jak wzbiera w nim gniew. — Czy może moja śmierć to dla ciebie za mało?

— Tak — odparła z upiornym uśmiechem. — Twoja śmierć to faktycznie za mało. Moją zemstą będzie patrzeć ci w twarz, gdy umrze twoje marzenie.

— Moje marzenia umarły. W Groblinie, na moich oczach. Szwedzi zgwałcili je i poderżnęli im gardła.

— Tak — pokiwała głową. — I z ich krwi zrodziło się nowe. Zemsta! Odbiorę ci ją i będziesz na to patrzył!

— Niby jak?

Duch kobiety uśmiechnął się ponownie i wskazał dłonią przed siebie.

Kasztelan odwrócił się i zamrugał oczami zdziwiony. Stos stał w ogniu, a ciało kobiety zniknęło i Olgierd szybko domyślił się za czyją przyczyną.

Na innej kłodzie siedział jego morderca. Był to ogromny mężczyzna, odziany w gruby bezrękawnik kolczy, skórzane spodnie i zniszczone, wysokie buty. Najbardziej w oczy rzucał się jednak starożytny hełm z nosalem i osłonami policzków oraz obosieczny miecz o szerokim ostrzu, wąskim jelcu i masywnej głowicy, który olbrzym trzymał przed sobą. Choć broń musiała być prastara, kunszt wykonania i oprawy zdawał się sugerować, że była godna księcia, lub nawet króla.

Wyraźnie wyczuwalna aura potęgi bijąca od tego mężczyzny sprawiała, że duch poczuł tchnienie strachu, choć nieznamy tylko z nudów, albo bezwiednie, rył sztychem w ziemi.

— Co to jest? — Zabramski spytał niepewnie.

— Mściciel starych bogów — kobieta podniosła się z siedziska

— Co?

— Dziś są prawie zapomniani, tak jak byty którym służą. Znalazłam wzmiankę o nich, gdy jeszcze uczyłam się u Szczepana Zaręby z Kłęcka. Nie wiem, dlaczego przypomniałam ją sobie kiedy niebo zawaliło mi się na głowę od twojej zdrady, ale cieszę się, że tak się stało.

— To znaczy? Co zrobiłaś?

— To samo co ty. Zawarłam pakt. Moje życie i nawrócenie, w zamian za zabicie ciebie i twojego demona.

— Nie! — Zabramski krzyknął i ruszył w jej stronę. Zatrzymał się jak wryty, gdy wojownik podniósł głowę i spojrzał wprost na niego.

— Tak! — Krzysia odparła z zadziornym uśmiechem. — I tak, on nas widzi. Dlatego lepiej aby nie przyszło ci do głowy nic głupiego, bo choć nie może cię drugi raz zabić, to jest w stanie sprawić ci ból. Podobnie jak ja...

Kasztelan warknął wściekle, ale odsunął się od kobiety. Przez chwile zbierał się w sobie, analizując sytuację i posyłając obojgu gniewne spojrzenia. Kobieta uśmiechała się na nie z satysfakcją, zaś Mściciel, jak go nazwała, w ogóle nie zwracał na nie uwagi.

— To bez znaczenia — Olgierd zdecydował w końcu. — Nie ważne czym jest ten twój kochaś, nie poradzi sobie z biesem. Sprzedałaś duszę za nic!

— Jedynym kochasiem jakiego miałam w życiu był twój demon! Przez ciebie! A za swoją duszę dostałam oglądanie śmierci sobaki, który mnie zdradził. To więcej niż otrzymałeś ty i za o wiele mniejszą cenę.

Mimowolnie skurczył się pod jej tyradą, ale gdy określiła go rosyjską inwektywą, znów zapłonął w nim gniew.

— Odchędoż się, murwo — odciął się. — Zrobiłaś dokładnie to samo co ja! Dobiłaś paktu, aby ktoś zemścił się za ciebie, tyle że zamiast do demonów zwróciłaś się do pogańskich bałwanów. I to niby ma czynić cię lepszą?

— Tak. Bardziej jednak czyni mnie lepszą cena, jaką zapłaciłam. Ty za swoją zemstę oddałeś moją cnotę i życie, jak i życia oraz godności innych. Ja za moją pomstę zapłaciłam z siebie.

Jej słowa uderzyły go mocno, niemal fizycznie. Wdarły się w umysł i w głąb duszy, naruszając pewność siebie i gasząc gniew. Z wysiłkiem złapał się innego argumentu.

— Twoja zemsta jest samolubna. W wyniku mojej, Polska będzie wolna spod szwedzkiego ucisku.

— Szwedzi nie są pierwszymi, ani ostatnimi najeźdźcami, Mistrzu. Czy byli to Rzymianie, czy będą dzikusy z nowego świata, albo z gwiazd, zawsze prędzej czy później ich pokonamy. Taką mamy upartą naturę.

— A ile osób przy tym zginie?

— Nie wiem... Za to wiem, kto nie zginie na pewno.

Zabramski uniósł brew nie rozumiejąc. Ruszyła, pokazując mu aby podążył za nią. Zaraz domyślił się, gdzie go prowadzi.

Noworodek leżał dalej w kręgu Nagrody. Choć lśnienie linii było niewidoczne w blasku płomieni, ich moc musiała działać, bo chłopiec spał, mimo upływu dni od kiedy był ostatnio karmiony, albo przewijany.

— Nie pozwoliłbym go skrzywdzić! — Olgierd powiedział z mocą. — Nim bies wywiązałby się ze swego zadania, znalazłbym sposób, aby go okpić!

— Wątpię — odparła Krzysia, siadając na ziemi obok niewidzialnej bańki otaczającej malca. — Teraz to i tak bez różnicy.

Zapadło między nimi milczenie. Zabramski snuł się przez jakiś czas bez celu po polanie, obejrzał raz jeszcze swoje ciało i swego zabójcę. Natura wielbiciela wiedzy tajemnej

powodowała, że z wielką chęcią przyjrzałyby się wzorom wygrawerowanym na jego hełmie, albo tajemnym rytom zdobiącym broń, ale nie miał po temu odwagi. Szedł właśnie zbadać, jak to jest stać przy ogniu i nie czuć żaru, kiedy Mściciel nagle wstał.

— Twój demon nadchodzi — powiedziała Krzysia grobowym głosem.

Bies wychynął na polanę. W rękach trzymał kolejne pęki ludzkich głów. Zatrzymał się na widok stosu i pociągnął nosem.

— Oj, czarnoksiężniku... Było powiedzieć, że będziesz robił pieczyste. Głodny jestem jak wilk, a wśród tych heretyków nie można z nikim kulturalnie porozmawiać nad udźcem czy żeberkami.

Gdy nie nadeszła żadna odpowiedź, zaczął się rozglądać.

— Czarnoksiężniku? Kasztelanie? Kasztelanie Zabramski?

Wypuścił głowy i sięgnął po miecz. Pociągnął parę razy nosem, ale dopiero gdy jego oczy zalśniły jaśniejszą czerwienią, zauważył ciało na skraju polany.

— Hm hm hm, ha ha ha! A więc nie nacieszyłeś się swoją pomstą. Nie kłopotz się jednak, dla mnie słowo droższe pieniędzy, wywiążę się z kontraktu. A jako dodatek znajdę tego, co cię sprzątnął, nim dostałem cię w swoje szpony.

Pokręcił rogowym łbem i schylił się po upuszczone trofea, gdy Mściciel wszedł w krąg światła. Demon zatrzymał się w pół ruchu, następnie wyprostował i zlustrował go z góry na dół.

— No, no... Wieki całe żadnego z was nie widziałem. To ty go zabiłeś? A w imię czego? Szwodzi wam ani bracia, ani swaci, nie raz się tłukliście z tymi ich Asami, aż nam tynek na łeb leciał od wstrząsów. A może to jest jakaś wasza święta polanka, co? Perun spopielił piorunem jakieś drzewko po pijaku, czy święty wół Welesa kiedyś tu nasrał?

Wojownik nie odpowiedział, pokręcił tylko głową, rozluźniając mięśnie karku. Demon uśmiechnął się.

— Zapomniałem już jakie małomówne z was bestie, ale pewnie ciężko się gada z hełmem przyrośniętym do pyska, co?

Woj i tym razem się nie odezwał.

— Eh... No nic. Pewnie nie zgodzisz się na załatwienie tej sprawy polubownie? Ty sobie pójdziesz w cholerę, kiwać się przed jakimś posągiem, a ja nie urwę ci łba aby użyć go jako nocnika?

Przeciwnik splunął w bok i przyjął postawę szermierczą.

— No trudno... — mruknął bies i z rozdzierającym rykiem ruszył do ataku. Mściciel skoczył mu naprzeciw. Nietypowe miecze uderzyły o siebie z ogromną mocą. Rozdzieliły się i zderzyły ponownie, a potem jeszcze raz i kolejny. Koncert dzwoniącej o siebie stali rozszedł się po polanie, a ostrza migotały w chybotliwym świetle płomieni.

Przez chwilę pojedynek był wyrównany. Demon był wyraźnie silniejszy, poganin musiał oburącz blokować jego ciosy, ale nadrabiał zajadłością. Przy całym swym wzroście i ogromnej muskulaturze, zdawał się tylko cieniem przy fizycznej potędze biesa.

A ten umiał ją wykorzystać.

Zablokował oburęczne cięcie tuż nad swoją głową, a następnie napał na ostrze, spychając je z drogi. Uderzenie barkiem odepchnęło człowieka o dobrych kilka metrów i choć nie stracił równowagi, to czart zepchnął go do defensywy.

Jego atak był straszny. Szybki, potężny, przypominający falę powodzi. Czarne, pokręcone ostrze, tym razem trzymane oburącz, śmigało z lekkością smyczka. Nim minęła minuta, dwa razy odnalazło drogę do ciała przeciwnika, rozcinając grubą kolczugę jakby to był len.

Mężczyzna bronił się desperacko, ale bies nie dawał mu czasu na kontratak. Nie pozwalał też zwiększyć, ani zmniejszyć dystansu. Wtem za plecami rywala dostrzegł jedną z kłód. Wyszczerył się zadowolony i to on skrócił dystans.

Poganin skorzystał z tego pierwszy i trzasnął go ręką w pysk. Zabolalo to czarta, ale gotów był na takie poświęcenie. Z całej siły pchnął Mściciela i uderzył czołem w hełm.

Pożałował od razu, gdy jego oczy na moment straciły swój blask, a pod czaszką rozszedł się ból. Na szczęście usłyszał nierówne kroki, którym towarzyszyło zaskoczone stęknienie i dźwięk upadającego ciała.

Demon potrząsnął rogatym łbem, aby strząsnąć z siebie oszołomienie. Wyszczerył się, widząc jak mężczyzna próbuje się pozbierać po drugiej stronie kłody. Nie miał zamiaru mu na to pozwolić. Wznosząc miecz do ciosu i rycząc tryumfalnie skoczył na powaloną ofiarę.

Z ogromną siłą uderzył w niewidzialną barierę, gdy przelatował nad pniem. Skołowany upadł na ziemię, sięgnął na boki, ale wszędzie poczuł ściany powietrza. Całkiem znajome i zniechęcające!

— Nie... — jęknął naciskając je z całej siły. — Nie!

Odpowiadając na atak demona, na ziemi, w miejscu, w którym wojownik przedtem siedział, zalśniły linie prymitywnego kręgu. Tak prostego, że nie zdołałby on utrzymać biesa, gdyby nie jeden szczegół.

— Zdradziłaś mu imię demona?! — Zabramski krzyknął do kobiety, rozpoznając znaki wycięte w glebie między liniami kręgu.

— Oczywiście. Myślisz, że czemu czekałam z zabiciem się do ostatniej chwili? Chciałam mieć pewność, że zapamiętam zapis, który ci zdradził — uśmiechnęła się, a ciało znów spłynęło z jej twarzy, gdy zwróciła się do olbrzyma w hełmie. — Zabij go!

— Nie! — zawył duch kasztelana. Ruszył biegiem na powstającego mężczyznę. Skoczył ze wzniesionymi do ciosu rękami i przeleciał przez niego na wylot, nie czyniąc mu krzywdy. Za to sam poczuł rwący ból w głowie, którą zahaczył o prastary hełm.

Mściciel w tym czasie niespiesznie podszedł do uwięzionego demona. Ten zdołał się już podnieść z ziemi i stał teraz, opierając o niewidoczne ściany.

— Zdaje się... Zdaje się, że napytałem sobie biedy, co? — zapytał, uśmiechając się dziwnie. Mężczyzna przekrzywił lekko opancerzoną głowę. Następnie uderzył mieczem raz i drugi. Jego stal bez oporów przeszła przez bariery i wbiła się w nogi biesa. Rozrząbała czerwoną skórę i stalowe mięśnie. Pomarańczowa krew buchnęła na boki. Uwięziony zawył, nogi załamały się pod nim i ciężko upadł na kolana.

— Nie! Czekaj! Za-zaczekaj. Dogadajmy się!

Mściciel prychnął z pogardą i uderzył po raz kolejny. Dłoń trzymająca czarny miecz w rozbryzgu siarkowatej juchy oddzieliła się od ciała. Bies zaryczał znów, w akcie dzikiej wściekłości drugą pięścią uderzając w barierę. Nawet nie drgnęła.

— Twoje brzemie! Wezmę je na siebie! Uwolnię cię od klątwy twoich bogów! Od tego hełmu, od tego miecza! Będziesz mógł spocząć w spokoju...

Mężczyzna wznosił już broń do kolejnego ciosu, ale zatrzymał się. Zdać się mogło, że głęboko w cieniu jego oczodołów mocniej zalśniły płomienie ogniska. Demon popatrzył nań z cieniem nadziei na potwornym obliczu.

Miecz opadł, lśniąc własnym, srebrnym blaskiem. Czart nie zdążył nawet drgnąć, a co dopiero się zasłonić. Jego rogaty łeb rozpękł się jak dynia, rozrzucając na boki fragmenty kości, pomarańczową posokę i tkankę. Ostrze zatrzymało się dopiero na mostku i zwycięzca musiał potężnie kopnąć, aby je oswobodzić.

Upadające ciało już bez trudu przeszło przez barierę i z łoskotem uderzyło o udeptaną ziemię. Zabramski upadł na kolana razem z nim. Złapał się za głowę, z niedowierzaniem wpatrując się w zaczynające ciemnieć zgnióczerwone cielsko. Chciał zapłakać, ale nie miał czym. Chciał rwać włosy z głowy, ale nie był w stanie ich oddzielić. Mógł zrobić tylko jedno.

— Ty... — wycharczał w kierunku byłej uczennicy. — Przeklinam... Przeklinam cię!

— Za późno — odparła ze śmiechem. — Mój los już przypieczętowany. Przez wieki będę błąkać się po pustkowiach Niwii, o głodzie i w chłodzie, nie zaznając towarzystwa żadnej żywej istoty.

Podeszła wolno do niego i popatrzyła z góry.

— Warto było...

Olbrzym nie zwracał na nich uwagi. Oczyszczył swoje ostrze i wsunął do pochwy. Następnie schylił się, aby podnieść broń demona. Ta nie ulegała rozkładowi jak jego ciało. Mściciel zważył ją w dłoni, zamachnął się kilka razy i zakręcił młynka w nadgarstku. Nagle wzdrygnął się zauważalnie, po czym skinął głową.

Zarzucił czarny miecz na ramię i ruszył w stronę stosu. Gdy przechodził obok, noworodek na ziemi zaczął płakać. Mężczyzna zatrzymał się i spojrzał nań, przekrzywiając głowę. Dziecko zapłakało głośnie.

Obróciwszy broń w nadgarstku, olbrzym pchnął ją w dół.

Sztych wbił się w ziemię dobry metr od malca, ten się jednak tym nie przejął, nadal krzykiem oznajmiając, jak jest mu źle. Wojownik uśmiechnął się pod nosem i podniósł dzieciątko. Przekręcił go kilka razy na boki oglądając, raz czy dwa potrząsnął jakby ważąc. Dziecko zamilkło od tego, najwyraźniej zaciekawione nowymi doznaniem. Olbrzym wzruszył ramionami, położył go sobie na przedramieniu i sięgnął po wbity w ziemię miecz.

Dwa duchy w milczeniu obserwowały, jak odchodzi. Jeden z zadowoleniem, drugi z poczuciem klęski.

Nie obejrzał się na nie ani razu.